

Bożena Sadkowska

Hazardziści

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (11), 65-81

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Bożena Sadkowska

Hazardziści

Ludzi o zainteresowaniach intelektualnych można podzielić na tych, co już wiedzą i tych, którzy ciągle szukają. Zadowolonych z aktualnego stanu posiadania wiecznych maturzystów i niepewnych, zaniepokojonych, pełnych niedosytu wiecznych studentów. Pierwsi uważają się za zdobywców prawdy, drudzy, zawsze w podróży, cierpliwie i powoli do niej pielgrzymują. Celu drogi nie znają, kierunek odczytują ze śladów — dość zawodnych, bo te wybrane nie są jedynymi. Czują, że prawda to pewna wiedza plus coś jeszcze, co może być odkryte dopiero po przejściu drogi, albo w ogóle nie. Ale ci poszukiwacze nie boją się ryzyka, chociaż nie ma takiego towarzystwa asekuuracyjnego, które ubezpieczyłoby ich na wypadek niepowodzenia. Wolni od komercyjnego myślenia życiowych kupczyków, wiedzą, że dostali od życia szansę, ale nie dostali do niej gwarancji. I tę szansę bez gwarancji akceptują. Niektórzy z takich ryzykantów wyrastają na intelektualistów.

Ogarniając jednym rzutem oka dostępne przestrzenie kultury, odkrywa się zjawisko intelektualizmu

Wieczni
maturzyści
i studenci

Intelektualizm
u Arystotelesa
i w *Genesis*

i w Arystotelesowym „*amicus Plato, sed magis amica veritas*”, i w *Genesis*, gdzie w syntetycznej formie zawarty jest imperatyw opanowania świata poprzez oswajanie i przywłaszczanie rzeczy, którym się nadaje imiona. Systematyczna kontynuacja poszukiwań na gruncie wszystkich kultur i od czasów prehistorycznych to zbyteczny trud. Zjawisko jest bowiem uniwersalne. Zmieniają się formy zewnętrzne, istota pozostaje. Intelektualista to człowiek, który poznając świat, próbuje go porządkować i budować z jego elementów precyzyjne konstrukcje. Jego aktywność skierowana jest na badanie struktur rzeczy i rozumienie funkcjonowania ich mechanizmów. Świat nie jawi mu się w postaci luźnych migawkowych wrażeń. Z obserwowanych przedmiotów, faktów, stanów pracowicie układa taki człowiek mozaikę, zgodnie ze szkicem już tkwiącym w jego myśli jako wynik systematycznej pracy mózgu nad poprzednimi doświadczeniami życia. Dla intelektualisty ważny jest każdy kamyk wzbogacający jego mozaikę i wszystko, co widzi, ma dla niego znaczenie nadane *a priori* — nawet jeżeli nieświadomie — z punktu widzenia jej szkicowego zarysu. Owo porządkowanie świata odbywa się na bazie aktualnego rozwoju nauk i w kategoriach kultury — czy też kultur — dla intelektualisty podstawowej, ale ma charakter subiektywny. Prawda, do której się dochodzi, jest własną, indywidualną, niemal prywatną prawdą i może zawierać elementy dla innych nie do przyjęcia. Bowiem intelektualista nie ma zaufania do powszechnie uznanych prawd. Obdarzony jest szczególną wrażliwością na fałszywe tony. Omija wydeptane ścieżki. W poszukiwaniach idzie własną drogą — nawet wbrew przyjętym sposobom postępowania. Dlatego bardzo często intelektualiści są niedowiarcami, którzy widzą na opak to, co dotychczas uświęcone, a w pozornych porządkach demaskują chaos czy absurd. Spotyka ich przeto zarzut cynizmu.

Indywidualna
prawda

Conditio sine qua non intelektualizmu to kierowanie się Erazmową zasadą *ad fontes*. Intelektualista nie zaspokoi swoich zainteresowań wiadomościami z drugiej ręki. Gdy inni zadowolą się kopią, on sięga po oryginał. Dla człowieka dzisiejszego, wychowanego na literaturze z przekładów, muzyce z płyt i malarstwie z albumów, pierwsze spotkanie z oryginałem, o którym ma się już określone zdanie i traktuje się go jako dobrego znajomego z reprodukcji, jest — zależnie od stopnia wrażliwości — wielkim lub mniejszym wstrząsem. Staje się w muzeum przed najcenniejszymi płótnami z uczuciem pewnego zażenowania. Gdzie się podziały te wspaniałe kolory, na które byliśmy przygotowani? Zgromadzona w wyobraźni galeria reprodukcji miała barwy czystsze, bardziej świetliste. Oto degradacja marzeń — rzeczywistość okazała się przygaszona, zszarzała, nieciekawa. Dopiero drugie spojrzenie odkrywa prawdę bogatszą od naszej. Przecież owe wyciszenia, głębokie cienie, odebranie płótnom krzyżującej jaskrawości reprodukcji — tych afiszów reklamowych kultury — i czarodziejskie światło Rembrandta, Vermeera, światło nie wiadomo skąd, i metaliczne błękity El Greca nie dadzą się nigdzie powtórzyć. Takie pierwsze przeżyte spotkanie z autentykiem jest przejściem kolejnego progu dojrzałości, jak odkrycie bogactwa cierpkiego smaku, wobec którego słodycz staje się nudna. Wtedy obserwator odczuwa inny rodzaj zażenowania. Wstyd mu za jego ubogie marzenia konesera Jablonexu. A czasem czuje żal, a może i wściekłość go chwyta na tę powielającą epokę za to, że udostępniając kopię zamiast oryginału, dostarcza ludziom taniej, standaryzowanej imitacji marzeń. Intelektualista świadomy jest faktu, że z drugiej ręki otrzyma już tylko deformację, nawet jeśli nie zamierzoną.

Ze źródeł można czerpać na wiele sposobów. Jedni cenią nade wszystko dostęp do interesujących

Błękity
El Greca...

...a marzenia
konesera
Jablonexu

miejsc w przestrzeni, miejsc o walorze centrów kultury. Inni uważają, że nic nie zastąpi swobodnego poruszania się w obszarach kulturowych, ze znajomością języków, z sięganiem do historii. Są i tacy, którzy nie mogą się obejść bez kontaktów ze współczesnymi podążającymi tą samą drogą.

Montaigne był wyjątkowym szczęściarzem. Otwierającą humanistom wszystkie zamki łacinę poznał, dzięki zapobiegliwości ojca, dosłownie już w kołysce, gdyż osoby, wśród których upłynęło jego dzieciństwo, otrzymały surowy nakaz rozmawiania przy dziecku wyłącznie w tym języku. Francuskiego nauczył się Montaigne w drugiej kolejności. Pisarz podróżował po Europie, choć najwyżej cenił swoją wspianą domową samotnię. Przyjmowały go dwory — papieski w Rzymie i królewski w Paryżu. I to przyjmowały jako uznaną wielkość — niebagatelny jest fakt, że *Próby* uzyskały za życia autora rewelacyjne na owe czasy piąte wydanie. Montaigne'a podróże w historii to lektura pisarzy starożytnych, głównie Seneki i sceptyków. A z kontaktów osobistych najważniejsza była dla niego przyjaźń, jaka go łączyła z Étienne de La Boétie. Po jego śmierci Montaigne nigdy nie wyleczył się z ogromnego smutku i przygnębienia. Ten związek, tak rzadki, autentycznego partnerstwa intelektualnego, to być może najsilniejsze uczucie Montaigne'a. Podróż intelektualna ma wyznaczony cel, chociaż jej program może być bardzo luźny. Ma ona zawsze charakter wędrowni czeladnika przygotowującego swój majstersztyk. Nawet wówczas, gdy podejmowana jest wbrew woli, pod przymusem. Wygnany z Florencji Dante tułał się po Europie przez dziesięć lat. *Boska komedia* była plonem banicji. Zesłanego do Rosji Mickiewicza żegnano jako początkującego poetę wileńskiego. Wrócił dojrzały twórca i Europejczyk. Okazuje się, że najsilniejszy talentem, najbardziej świadomi rangi zadania, ja-

Podróże
europejskie
i w historii

kie sobie wyznaczyli, potrafią nawet wygnanie wykorzystać dla swego rozwoju.

Nieustanna podróż to naturalny stan intelektualisty — zewnętrzny wyraz skłonności cygańskich poszukiwacza prawdy, któremu brak talentu do życia osiadłego, równie jak do spokoju. Ale dobrze mieć od czasu do czasu takie miejsca azylu, miejsca święte, rodzaj prywatnej czarodziejskiej góry, poza biegiem czasu wpływającego na zewnątrz. Dla Karola Szymanowskiego takie prawo wyłączonego terenu miała Tymoszkówka. Ta nazwa przecina jego trasy jak refren. A podróżował mnóstwo. Berlin, Lipsk, Drezno, Sycylia, Rzym, Florencja, Wenecja. Gorączkowe, w ciągłej ekstazie przed tą gigantyczną galerią sztuki, wrażenia ujawniane najbliższym w listach. A później — Tymoszkówka. Wiedeń i Tymoszkówka. Zakopane, kolejna podróż: Sycylia, Algier, Tunis, Paryż, Londyn. I znów kresem — Tymoszkówka. Gdy zabrakło Tymoszkówki, była Warszawa i Zakopane. I dalekie wspaniałe wojaże: Nowy Jork, Floryda, Kuba. Ale miejsca powrotów stały się miejscami tylko postojów. Znamienny fakt — kiedy trzeba było opuścić Tymoszkówkę na zawsze — bo nie ma takich miejsc, o których zapomniałaby historia — *remedium* na towarzyszące temu wypadki stało się pisanie *Efebosa* — sięgnięcie myślą na rozstłonecznione Południe, po wartości najcenniejsze, uniwersalne: piękno i dobro. To także jedna z podróży — w czasie i w wyobraźni. Tak charakterystyczna dla epok zamkniętych granic, rozbitych domów, szanów, które dzielą na swoich i obcych. Nałkowska w okupowanej Polsce czyta Hegla, Goethego i dokształca się bardzo solidnie w zakresie historii Francji. Ocalały domowe biblioteki przyjaciół, czyta więc, żeby nie zatracić, nie zaprzepaścić siebie w tej katastrofie. Poza tym, książka jest dla intelektualisty narkotykiem. Nałkowska stara się zbudować fikcję normalnego życia. Żeby wyglądało tak, jak na co dzień w jej

Naturalny
stan
intelektualisty

Piękno,
dobro i
Tymoszkówka

niecodziennym domu. Jest tu nawet muzyka — płyty z Chopinem, ale także prawdziwy koncert Dubiskiej. Jest miejsce i na modę — pisarka nosi autentyczne paryskie pantofle, który to fakt uznaje za godny wzmianki w dzienniku. Autentyczne paryskie pantofle do fałszywej polskiej sytuacji pozorowanego życia, letargu intelektualnego, kiedy zdegradowanemu intelektualistcie pozostaje tylko przetrwanie.

Kant
nigdy nie
opuścił
Królewca

Czy należy koniecznie podróżować? Przecież trasa wędrówek Sokratesa były ulice i rynek ateński, Kant nigdy nie opuścił Królewca, a Bruno Schulz, który z wielkich miast znał Warszawę, Lwów i Wiedeń, większość życia spędził zaszyty w prowincjonalnym Drohobyczu. Ale żył na co dzień w obszarze dwóch kultur, w każdym zaułku spotykał egzotykę, wobec której podróż na Wschód wniosłaby pewnie w świat jego myśli niewiele nowego. Sformułowanie „podróże intelektualne” to skrót myślowy. Sięganie do źródeł odbywa się w różnych punktach Ziemi, nie tylko u kolebek kultur czy epok. Są bowiem umysłowości tak bogate, umiejące do tego stopnia wykorzystać materiały chwilowo dostępne, że późniejsze spotkanie z autentycznym ma dla nich wartość nie tyle objawienia, co raczej konfrontacji. Takie postacie kwestionują nawet w pewnym sensie pojęcie centrów kultury, skoro same są zdolne stać się zaczątkiem nowego centrum. Wprowadzają zamęt w umysły badaczy, burząc mur rozgraniczający stolicę i prowincję. BOWIEM w istocie podział nie przebiega tu w przestrzeni, ale wewnątrz, w umyśle.

Umysły
bogate...

Przestrzeń uległa dzisiaj skurczeniu. Zapanowała ogólnoświatowa moda na podróżowanie. Masowe — dla wszystkich dysponujących pieniędzmi. Właściciele umysłów zaściankowych obwożą swój zaścianek po Paryżach i Rzymach bez żadnego dla owego zaścianka uszczerbku. Są impregnowani na wpływy kultury. Owszem, lubią się pogapić na sztukę

...i umysły
zaściankowe

— jak Norwidowy szlachcic, co to lubił muzykę w charakterze akompaniamentu do moczenia nóg. Ale mijane w podróży dzieła sztuki mają dla profanów arystokratyczne milczenie. Może uda im się znieść i ten barbarzyński najazd. Przemawiają tylko do swoich i tylko im dają zachwyty. To wielcy ironiści — działają trochę jak piękne kobiety-inspiratorki, zdolne rozwinąć *esprit* u osób wybitnych, otumaniające i ogłupiające półmędrków.

Oprócz swobody poruszania się w przestrzeniach kultury warunkiem intelektualizmu jest również inna wolność, znacznie trudniejsza, ciągle na nowo zdobywana w licznych próbach i doświadczeniach — wolność intelektualna. Dla Montaigne'a jest to jedyna autentyczna forma wolności, której azyłem — ale i twierdzą — jest wewnątrz ludzkie. Montaigne rozumiał ten problem wyjątkowo głęboko, zachowując przez całe życie imponującą niezależność. Odrzucił propozycję Henryka IV zamieszkania na jego paryskim dworze, chociaż z monarchą łączyła go wielka przyjaźń z czasów, gdy *Vert-Galant* był jeszcze królem Nawarry. Antyszambry Luwru okazały się zbyt duszne i niegodne, a sytuacja nadwornego filozofa mało atrakcyjna, zwłaszcza że pisarz był szczęśliwym właścicielem posiadłości ziemskiej.

Ten typ wolności wiąże się ściśle z instytucją mecenatu. Z pojęciem „mecenat” zrosły się w naszej tradycji skojarzenia prawie wyłącznie pozytywne. Z epokami wyjątkowo barwnymi. Bogatymi w sztuki. Pozostawiającymi w historii szczytowe osiągnięcia zarówno myśli, jak i wszelkich innych ludzkich talentów. Z epokami zdecydowanie oświeconymi. Jeżeli myślimy o kulturze greckiej, to o tej z czasów Peryklesa, jeśli Rzym — to za Augusta Oktawiana, hasło: renesans włoski łatwo kieruje myśl na florencki dwór Medyceuszy, Francja miała swego *Roi Soleil*, tak jak szesnastowieczny Kraków Zygmunta

Wnętrze
ludzkie
twierdzą
wolności

Mecenat
kojarzony
pozytywnie

Augusta, a osiemnastowieczna Warszawa króla Stasia.

Ale do zrozumienia idei mecenatu nie potrzeba listy przykładów. Wystarczy jeden — może szesnastowieczna Republika Wenecka. W okresie największej świetności państwa życie obywateli podporządkowane było całkowicie jego interesowi. Wenecja ówczesna roztoczyła nad artystami opiekę na skalę niebywałą. Dzięki umiejętnościom dyplomatycznym patrycjatu, który w swych posunięciach wobec twórców był szczególnie delikatny, artyści wcale nie czuli się jak w pułapce. Wielki Tintoretto malował na zamówienie, a ponieważ był ogromnie pracowity, wywiązywał się ze wszystkich zleceń. Pozostawał wciąż do dyspozycji, ciągle na usługach mecenasa i nie myślał, że jest kupiony. Ten przypadek skłania do zadumy, zwłaszcza w porównaniu z losami innego Włocha — ale nie Wenecjanina — Leonarda da Vinci. Leonardo nie potrafił radzić sobie z mecenasami i bezustannie popadał w konflikty. A przecież był pracowity jak Tintoretto, a może bardziej. Bez porównania większa była także rozległość jego wiedzy, obszar dziedzin, które zgłębił.

Tintoretto był malarzem. A Wenecja nie dyktowała malarzom kanonów sztuki. Leonardo to autentyczny intelektualista. Dlatego nie mógł się zmieścić w ciasnych granicach, wyznaczonych mu przez mecenasa. Prawda Leonarda to nie tylko malarstwo, ale również traktaty naukowe i filozoficzne, spisywane lustrzanką. Konsekwentnie poszukując swojej prawdy, nie mógł się zgodzić na niewolę doraźnych korzyści i nie stać go było na kalkulacje — co się opłaci. Jego nonszalancja wobec kolejnych mecenasów zakrawa na kpiny. Artysta zawierał umowy o dzieła, których nie kończył, bo nagle w połowie pracy przychodziły nowe pasje. Potrzebował czasu. Naglące terminy nie sprzyjały twórczości. Nie mógł traktować poważnie opiekunów, którzy jego samego

Niewola
doraźnych
korzyści

nie traktowali serio. Na własnej skórze zaznał owej łaski pańskiej na pstrym koniu, kiedy Lodovico il Moro zmarnował bez najmniejszego żalu pracę szesnastu lat życia Leonarda — pomnik konny Franciszka Sforzy, dzieło wielkich marzeń i ambicji. Moro stwierdził po szesnastu latach zwodzenia, że mu się to nie opłaca i nie dał pieniędzy na wykonanie spizowego odlewu.

Mecenas zmienny w gustach to zjawisko normalne, ale intelektualista gotów akceptować każdą zmianę wygląda niezbyt czysto. Poza talentem myślenia niezbędna jest mu bowiem wewnętrzna, wolność głoszenia wyników pracy. Wolność od schizofrenii moralności. Elastyczność wyznawanych zasad, zbyt częste jak na jedno życie krańcowe nawrócenia nie dadzą się wytłumaczyć jako zwyczajne błędzenie na drodze do prawdy. W biografii Leonarda obserwuje się pewną rotację. Mecenate przemijają — artysta trwa.

Opieka mecenatu nie jest bezinteresowna. Patronat sprawowany nad talentami nie wynika wyłącznie z pragnienia ich rozwoju. Zachodzi tu relacja sprzedaży i kupna. Nie każdy twórca nadawał się do roli handlarza swoich dzieł. Zwłaszcza wtedy, gdy sprzedając dzieło, musiałby sprzedać siebie. Jeżeli taki niedopasowany twórczością do wymagań opiekuna próbował wbrew opiece, a zgodnie z sumieniem opisywać własną prawdę — kończył się mecenat. A kres mecenatu bywał burzliwy. Ten sam boski August, którego wielbili Wergiliusz i Horacy, skazał na wygnanie Owidiusza. Właściwie nie bardzo wiadomo za co. Afera była natury politycznej, ale nader mglista, skoro głównym zarzutem okazała się działalność rzekomo demoralizatorska. Poetę wygnano za to, że pod wpływem jego dzieł w Rzymie szalała rozpusta. Zupełnie jakby Rzym przed Owidiuszem był twierdzą cnoty. W ogóle z traktowaniem faktów ze sfery obyczajowej jako dowodów działalności antypaństwowej spotykamy

Interesowność
mecenatu

Owidiusz
skazany
na zsyłkę

się wszędzie tam, gdzie brakuje dostatecznych argumentów politycznych. Wina Sokratesa sformułowana przez sąd ateński to niewiara w oficjalnie uznanych bogów i — demoralizowanie młodzieży. A w złotym wieku augustiańskim, kiedy Horacy pisał ody na chwałę cesarstwa, Wergiliusz tworzył na zamówienie Augusta, Owidiusz — *enfant terrible* epoki — nie chciał tworzyć panegiryków, bo go to nie interesowało. Może czuł, że fałszywych słów nie da się zamienić w dobrą literaturę. Trudno mu się dziwić, że nie przypuszczał, iż nawet *Ars amandi* można — przy dużych chęciach i pewnej zdolności — odczytać nie tylko politycznie, ale i antypaństwowo. Najprawdopodobniej tylko książki kucharskie mają przywilej interpretacji jednoznacznej. August Oktawian skazał Owidiusza na zsyłkę, a jego dzieła na usunięcie z bibliotek Rzymu. Ale czas okazał się — jak zwykle w takich razach — największym ironistą. Dzieła ocalały, a decyzja Oktawiana zdemaskowała granice jego mecenatu.

Gwarancją pomyślności intelektualisty pod opieką była zawsze umiejętność tworzenia po myśli mecenasa. Pod protektoratem Napoleona, który popierał tylko pewne dyscypliny nauki — matematykę, chemię, fizykę, astronomię, egiptologię — bezużyteczny humanista nie miał na co liczyć. Zainteresowania cesarza dalekie były od sfer abstrakcyjnych. Historię traktował jako naukę podejrzaną, ekonomia i filozofia zostały wyklęte jako produkt szarlatanerii. Bezpiecznie było rozwijać zdolności techniczne. Pewne słowa — jak „rewolucja” — wyrzucano ze słownika. Niektórzy intelektualiści — pani de Staël, Benjamin Constant — byli zmuszeni pożegnać Paryż, a nawet emigrować. Sześćdziesiąt czasopism zakończyło żywot.

Haniebną parodią mecenatu stała się polityka kulturalna Hitlera, rozpoczęta uroczystym spalaniem w Berlinie w roku 1933 dzieł intelektualistów, którzy

głosili poglądy antyfaszystowskie. Mecenat miał charakter przymusowy i tym się różnił od tradycyjnych. Do kariery można było pod rządami Hitlera dojść dosyć łatwo — wystarczała publikacja skromnego artykułu ku chwale protektora. Uniwersytet został przekształcony z centrum naukowego w biuro propagandy. Część elity umysłowej Niemiec — jak bracia Mann, Arnold Zweig, Brecht, Feuchtwanger, Cassirer, Einstein — opuściła kraj. Dla uczciwego człowieka wybór w takich wypadkach ogranicza się do ryzyka emigracji lub heroizmu pozostania. Heroizmu, bowiem postawa bierności była natychmiast interpretowana przez reżim jako akceptacja. Ktoś — jak Hauptmann — kogo nie było stać na odwagę głośnego „nie”, sam sobie przypinał etykietkę zwolennika. Najciemniejsze to czasy dla kultury narodu, kiedy głowy mędrców, zbyt cenne, aby ich używać jako taranów, mają przed sobą już tylko tragiczną alternatywę: walić albo nie walić w mur.

Nawet najłagodniejsze i najbardziej życzliwe talentom mecenaszy poddawały nadwornych intelektualistów kastracji umysłowej. Czyniły z nich solistów karykaturalnej opery dworskiej, zdolnych śpiewać w ściśle ograniczonych infantylnych rejestrach. Śpiewali cienko — zawsze ku chwale. Na dworze Stanisława Augusta satyry pisywano „do króla”, nigdy „na”. Zarzuty skierowane przeciw monarsze znalazły wyraz w wierszach ulotnych anonimowych. Natomiast drapieżność nadwornych satyryków to lękliwe pazurki kanapowego kotkafaworyta. Bo pomiędzy intelektualistą nadwornym a zwykłym dworakiem granica jest wyjątkowo łatwa do pokonania. Czasem przekracza się ją niepostrzeżenie dla siebie samego, po prostu z wdzięczności i przez grzeczność wobec łaskawego i zacnego mecenasza, którego się polubiło za szczodrość. Intelektualista powinien być zwolniony od obowiązku podobania się mecenasowi. Ten typ kokieterii jest

Przymusowy
mecenat

Śpiew w
infantylnych
rejestrach

Upokarzająca
kokieteria

wyjątkowo upokarzający — prowadzi do deformacji przekonań, ogranicza możliwości wyboru dróg, w rezultacie nie wiedzie do prawdy. Kokietowanie twórczością uwłacza intelektualistom, jak rzeczom o niezaprzeczalnych wartościach uwłacza reklama. Zdolni i godni je zauważyć nie potrzebują ani przekonywania, ani pokazywania palcem, ani minoderii. Wartości nie wolno wystawiać na licytację. Dlatego często jedyną uczciwą drogą jest rezygnacja z opieki. Sytuacja byłaby idealna, gdyby intelektualista mógł rozdzielać w życiu twórczość od zarobku. Tak jak czynił to Spinoza, utrzymujący się ze szlifowania szkieł.

Intelektualista zamienia swoje życie w wędrówkę na poszukiwanie prawdy. Jest ona dla niego wartością centralną, zmuszającą niejednokrotnie do podejmowania decyzji wbrew korzyściom materialnym, wbrew karierze. Jak każdy maksymalizm, wymaga wyrzeczeń w imię wierności sobie. Tradycyjna opozycja między tym, co intelektualne a tym, co emocjonalne okazuje się niesłuszna, bowiem gorączkowa i namiętna pogoń za prawdą, bezlitosne tropienie i demaskowanie fałszu to jedna z najsilniejszych ludzkich emocji. Wielki Leonardo wierzył, że „każde poznanie ma źródło w uczuciu”.

Intelektualizm jest sztuką ludzi wyrastających ponad innych dojrzałością. A wyraża się ona poprzez pokorę, nieustanny ukierunkowany rozwój i samotność. Zgłębianie prawdy onieśmiela i obezwładnia. Jak miłość. Jak wszelkie tworzenie. Przerastające ludzkie możliwości bogactwo każe widzieć własną małość, zmusza do pokory skromnego ucznia wobec mistrza. Ignorancja — przeciwnie — ubezwładnia. Dodaje odwagi — jak każdy brak wyobraźni. Dlatego głosy ignorantów są pewniejsze i rozlegają się donośniej niż ludzie usytuowanych w świecie jako poszukiwacze.

Zachłanność w zdobywaniu wiedzy jest rezultatem niezadowolenia z siebie, z osiągniętego stanu, z do-

tychczasowych możliwości — nieakceptacji siebie zamkniętego w formie statycznej. Leonardowi da Vinci współcześni czynili zarzut, że nie potrafił zadowolić się dziełami swego talentu. Tymczasem jest to jedna z konstytutywnych cech intelektualisty, który musi umieć szybko uwalniać się od przeszłości, wyrastać z osiągnięć jak z za ciasnego ubrania. Szybko zamykać za sobą minione sukcesy. Nie oglądać się za nimi, nie delektować. Zabobonnie przestrzegać magicznego zakazu patrzenia wstecz. A wtedy własna sława stanie się zjawiskiem na wskroś zabawnym. Czytelnicy pospieszają z hołdami niewczesnymi — trzymając w garści dorobek przeszłości, to, co twórca już z siebie zrzucił, co w nim samym przestało istnieć. I tego mu jeszcze gratulują. Jak długo można gratulować zdanej matury? Zresztą, z poklaskiem współczesnych bywa jak z łaskami pięknych kobiet — można się nim cieszyć, ale bezpieczniej mu nie ufać. A kiedy znudzi, konsekwentny intelektualista strzepnie go z siebie jak kurz. Tymczasem dzieło już zyskało autonomię i stało się dla autora formą kamuflażu. Odtąd każdą próbę zdemaskowania go może intelektualista odeprzeć: ale to już nie jestem ja. Już nie ja i jeszcze nie ja. To tylko jedna z dość żalonych moich prób. Najważniejsze pozostało nie wypowiedziane. A mój niedosyt przedstawia wartość tylko dla mnie. Ludzie naznaczeni talentem płacą za tę bolesną niezwykłość wielką samotnością. Zadziwiająca, gdy się pomyśli, że otacza ich często tłum satelitów. Karol Szymanowski używał na określenie tego stanu terminu *splendid isolation*. Czy zdobywanie prawdy aż tak izoluje? Czy też problem wiąże się z wyrastaniem z wielu spraw istotnych dla ludzi o niższym pułapie możliwości? Pewna izolacja od świata, z którego elementów chce się porządkować system, jest konieczna — umożliwia osiągnięcie odpowiedniego dystansu.

W jednym ze swoich znakomitych esejów Erwin

Przeszłość
jak ciasne
ubranie

Talent
za cenę
samotności

Wartownia
czy
latarnia
morska

Panofsky zastanawia się nad genezą popularnej w tradycji zachodnioeuropejskiej metafory „wieża z kości słoniowej”, używanej — często ironicznie — przy charakterystyce właściwego intelektualistom odosobnienia. Panofsky broni tego sformułowania stwierdzając, że właśnie samotność i wysokość pozwalają widzieć dalej i szybciej zauważać. Dla niego wieża to także wartownia na wypadek niebezpieczeństwa. Dla mnie sytuacja intelektualisty bliższa jest latarni morskiej, wybudowanej z materiału mniej kosztownego, ale ze szlachetniejszym przeznaczeniem. Samotność latarnika ma cel — dawanie sygnałów podróżnym, wskazywanie drogi na co dzień. Obowiązek latarnika to wysyłanie światła, gdy dookoła panują ciemności.

Termin „wieża z kości słoniowej” wskazuje także na niepraktyczność życiową poszukiwaczy prawdy, spowodowaną przyzwyczajeniem zajmowania się na co dzień sprawami dalekimi od codziennych. Zabawnie wyglądają nieraz konfrontacje świata systemów intelektualnych ze światem codzienności. Intelektualista przypadkowo zabląkany w tym drugim świecie staje się w momentach roztargnienia śmieszny dla obserwatorów. Jest on często ekscentrykiem niezamierzenie. Janowi Potockiemu przydarzyło się kiedyś wejście nago do salonu matki — i raczej nie była to celowa kokieteria. Ludzie nie posiadający własnej *idée fixe* nie są w stanie zrozumieć kaprysów i dziwactw ludzi ogarniętych jakąś maniacką pasją. Tymczasem dziwactwa są efektem żelaznej, często bezdusznie konsekwentnej logiki — tyle że w różnym od zdroworozsądkowego porządku logicznym. Ten sam wspomniany Jan Potocki siedział kiedyś zatopiony w poważnym dziele naukowym. A włosy znad czoła ciągle spadały mu na oczy, przeszkadzając w czytaniu. Wybitny uczonek, który był mistrzem bałaganiarstwa, zerwał się i szybko obciął niewygodny pęk włosów. Fryzura wyszła z tego nieprawdopodobna,

dekoracja wątpliwa — ale co za wygoda! Innym razem przedstawiono mu dwudziestosiedmioletniego młodzieńca, wobec którego Potocki poczuł się trochę zaambarasowany. Był to jego pierworodny syn. Ojciec nie zdążył go poznać wcześniej, bowiem dzieci uczonego wychowywano w domu teściowej. Ich obecność zakłócałyby spokój konieczny do pracy.

Jest jeszcze jeden aspekt samotności intelektualisty — duma najszlachetniejszego gatunku. Są bowiem prawdy, których nie rzuca się przed tłumem. To, co najważniejsze, można powierzyć najbliższemu przyjacielowi. Wymaga sytuacji kameralnych. Jakże często wybitni intelektualiści zupełnie sobie nie radzą i gubią się, występując na forum publicznym.

A jednak potrzebą i powinnością intelektualisty jest pozostawianie śladów. Potrzebą, gdyż początkiem każdej twórczości jest taka chwila, kiedy obsesyjnie powraca i boleśnie uwiera mózg *leitmotiv*: odejść bezpotomnie to nieszczęście, odejść niewyrażonym — beznadzieja. Przewyciężeniem antynomii pomiędzy zachowaniem intymności a pozostawianiem śladów staje się pisanie. Transformacja siebie w słowo daje szansę, że gdy zabraknie twórcy, pozostanie *alter ego*.

Intelektualiści, obserwując prawidłowości występowania pewnych zjawisk, próbują ująć je w prawa. Łatwiej tym prawom przyznać walor obiektywności na gruncie pozahumanistycznym aniżeli w humanistyce, gdzie trudno o gwarancję słuszności. Nierzadko istnieje obawa, że obok wielkich systemów czy teorii naukowych mogą być umieszczane jako równouprawnione genialne w swej precyzji konstrukcje szaleńców. I dopiero następcy oddzielą prawdę od złudy. Zadziwiająco są bowiem paralelizmy między metodą uzasadniania hipotez naukowych a mechanizmem powstawania przesądów. Kiedy badacz weryfikuje hipotezę, obserwowane

Pisanie
pozostawia-
niem
śladów

Proroctwa
się
spełniają

fakty układają mu się w wyraźne i niezaprzeczalne sekwencje, zgodnie z założonym *a priori* porządkiem. Bowiem aparat percepcyjny wyczulony jest na rejestrowanie selektywne tylko pewnych faktów, ściśle związanych z hipotezą. A człowiekowi przesądnemu czarne koty naprawdę przynoszą niepowodzenie — na zasadzie samospełniającego się proroctwa. W obu wypadkach występuje zjawisko wzmożonej wrażliwości na określone bodźce. Materiał uznany za dowodowy bardzo często jest wyłącznie ilustracją postawionej tezy. Seria zakłóceń w *Kosmosie* — od powieszonego wróbla do powieszenia kota, synchroniczność zdarzeń w czasie badana przez Junga, nasze nakładanie znaczeń na przypadkowe następstwa wydarzeń — wszystko to dotyczy tendencji umysłu do porządkowania zjawisk w systemy.

Pod koniec życia staruszek Peiper prowadził drobiazgowo zapiski, siedząc przy świetle ostatniej żarówki, jaka się w domu uchowała — w łazience. Wszystkie poprzednie gasły w niewyjaśnionych okolicznościach. Dziwne — nikomu ze znajomych to się nie zdarzało. Wniosek jedyny — „oni” chcą go wykończyć. Nieokreśleni bliżej „oni” śledzili nieszczęsnego, używając najperfidniejszych sztuczek. Oświetlali nocą wszystkie, nawet boczne ulice wtedy, kiedy wychodził na spacer. Kto wie, może nawet wpadliby na pomysł zatrutowania przeznaczonej dla niego oranżady czy wody mineralnej. Ale tu „ich” przechytrzył — odbywał wędrowki do ciągle nowych, oddalonych od siebie małych sklepików.

Fakty
potwierdzą
hipotezę

System skonstruowany przez człowieka cierpiącego na manię prześladowczą może być spójny logicznie. A odpowiednio dobrane fakty uzasadnią hipotezę. W tym akurat przypadku choroba daje się łatwo zauważyć. Bywają jednak sytuacje, w których intelektualista, poszukując prawdy, musi zachować wielką czujność i świadomość, że poznanie nauko-

we także podlega emocjom. I pamiętać, że to samo dążenie do rozdzielenia prawdy i fałszu, które ka-zało rewelacyjne odkrycia naukowe — i Kopernika, i Leonarda, i Einsteina — uznać w pierwszej chwili za szaleństwo, działa dwukierunkowo. I że jednym ze składników postępu myśli jest obalenie uznanych teorii, i to nie tylko tych, które były płodami paranoików.

Wielu intelektualistów — tych bardziej utalentowanych, a więc i bardziej zachłannych — dochodziło do niebywałych rezultatów, stając się mistrzami w kilku dziedzinach twórczości. Ileż sfer zainteresowań miał Potocki! Jego umiłowanie Orientu było tak silne i potrafił je demonstrować tak sugestywnie, że zaraził nim młodziutkiego Wacława Rzewuskiego. Kto wie, czy bez Potockiego mielibyśmy legendę Farysa. Zajmował się Potocki-historyk pradziejami Słowiańszczyzny, a jego metoda była ponoć nowatorska. Włóczył się po Europie, Azji, Afryce — i przysyłał listy pełne zdumiewających brakami wszelkich uprzedzeń obserwacji. Patrzył tak, jak patrzy antropolog. A oprócz zajęć naukowych miał czas na urządzenie teatru w domu marszałkowej Lubomirskiej w Łańcucie i na pisanie *Parad.* I pozostawił znakomity *Rękopis znaleziony w Saragossie* — książkę, która ma własną sensacyjną legendę.

Rola intelektualisty to nie tylko powinność latarnika. Jest on wyrazicielem tego, co czujemy, ale nie potrafimy dać temu formy. Bo rzeczy niezwykle składają się z elementów dostępnych i — gdy się bardzo pragnie — osiągalnych. Ale niewidocznych dla oka nie uzbrojonego w talent odkrywania. Intelektualista to *pars pro toto* wszystkich, którzy zdecydowali się wyruszyć na poszukiwania bez gwarancji.

Utalentowani
więc
zachłanni?

Rzeczy
niezwykle są
osiągalne